

Kierat 2019

Ah, Kierat... Po mojej pierwszej edycji w 2018 roku byłem tak szczęśliwy z jego ukończenia, że dosłownie przez cały rok tęskniłem za kolejnym. Tym razem też wybraliśmy się w trzech, ale w nieco zmienionym składzie. Maciek przeskoczył na ultra biegi i godnie zastąpił go Marek. Warunki atmosferyczne przed Kieratem 2019 nie napawały optymistycznie. Cały maj był bardzo deszczowy, a kulminacja opadów nastąpiła kilka dni przed startem. Może kalosze najbardziej by się nadały? Nieee, po prostu zabrałem kilka par skarpetek.

W bazie stawilem się ok. godz 13tej. Paweł był tam już od rana, Marek przyjechał chwilę po mnie. Wiedząc jakie warunki czekają na trasie, zaplanowaliśmy jak najwięcej maszerować asfaltem, nawet kosztem nadrabiania kilometrów. Napełniliśmy żołądki na szkolnej stołówce, potem na wszelki wypadek jeszcze raz, wypiliśmy kawę i byliśmy gotowi.



Rysunek 1 - Po wesołych minach widać, że to jednak START

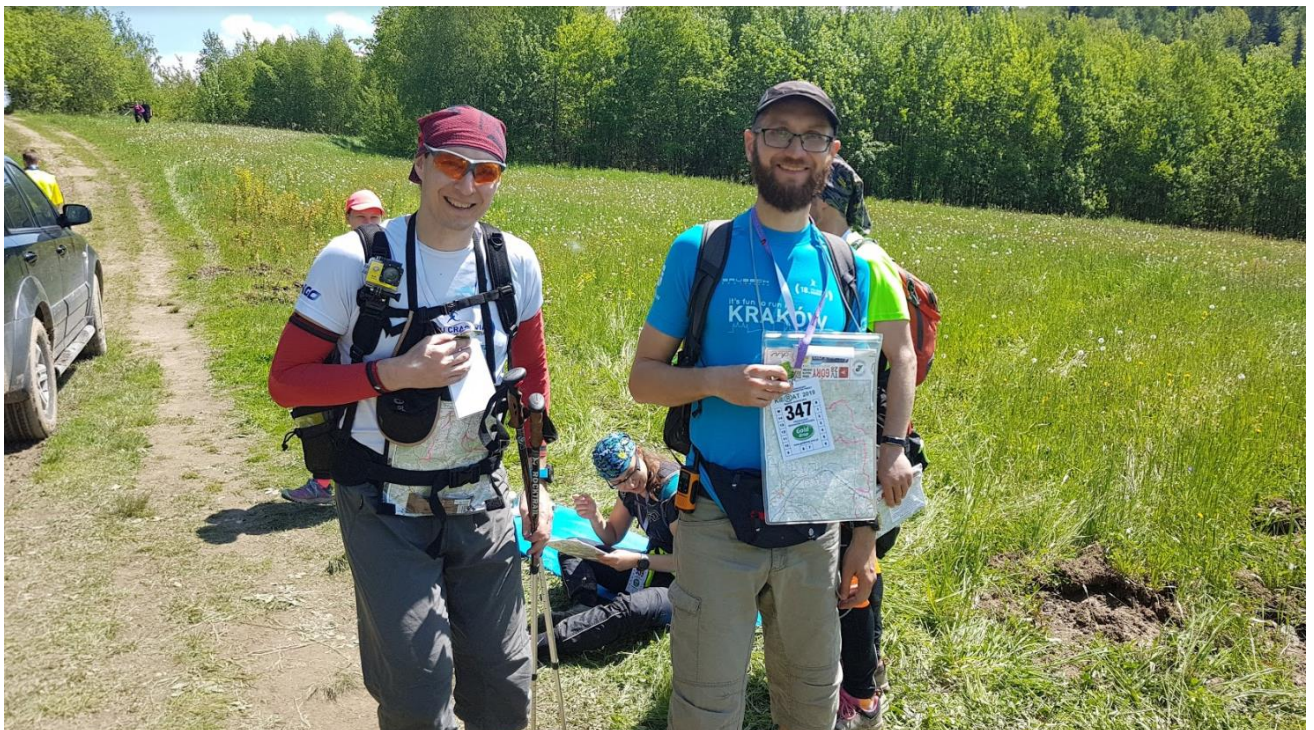
Ruszyliśmy jak zwykle o godz. 18:00 ze sporą grupą uczestników. PK1 zaliczyliśmy maszerując ciągle asfaltem. Lekko mżyło, ale prognozy nie zapowiadały już większych opadów. Do PK2 nawigacja była oczywista, trzeba było iść lasem, wyznaczonym szlakiem rowerowym i ścieżką w kierunku Przełęczy Pod Ostrą. Było tutaj bardzo mokro, ścieżkami płynęły strumyki, Paweł zaliczył małą kąpiel błotną. Generalnie trzeba było bardzo uważać, żeby się nie poślizgnąć i uchronić stopy przed wodą.

Od przełęczy weszliśmy na „ostrą” Ostrą skąd łatwo przez las, głównie szlakiem, bez większych podejść, dotarliśmy do PK3. Tutaj włączyliśmy czołówki. Później idąc asfaltem i zielonym szlakiem doszliśmy do PK4. Droga do kolejnego PK nie była już tak oczywista. Trochę pobłądziliśmy na ścieżkach chcąc zejść do głównej drogi, w jednym miejscu musieliśmy skręcić w nieplanowanym kierunku z powodu gospodarskich psów, które tej nocy miały dużo pracy. W końcu jednak dotarliśmy do Jastrzębia i skierowaliśmy się główną drogą do Czarnego Potoku. Mieliśmy tak szalone tempo, że na zbiegu Marek zaliczył „glebę” – przynajmniej asfalt był suchy. Odpoczęliśmy przy kościele i zaatakowaliśmy Babią Górę. PK5 można było łatwo ominąć, ale dobra dusza wskazała nam właściwą drogę. Zastała nas północ.

Po zejściu do Dunajca planowaliśmy iść na zachód i żółtym szlakiem do Koziarza, ale ostatnie ulewy pokrzyżowały nam plany - ścieżka rowerowa wzdłuż rzeki była zalana, a główna droga objęta zakazem organizatora. Na wschód było sucho, więc ruszyliśmy większą grupą w tą stronę i po przejściu rzeki zaczęliśmy szukać sensownych ścieżek, a tych było sporo. To znaczy ścieżek było sporo, nie sensownych. Ruszyliśmy równoległe do żółtego szlaku. Mieliśmy plan dojść do niego, żeby ułatwić sobie nawigację, ale ostatecznie trafiliśmy na PK6 bez tego. Dalej idąc głównie asfaltem zeszliśmy do Obidzy i przy kościele odbiliśmy z głównej drogi. Następnie przez mostek i bardzo błotnistymi ścieżkami zdobyliśmy PK7. Na tym odcinku zaczęło świtać. Muszę wspomnieć, że zawsze wrażenie robi nocny odcinek. Ludzie wyłaniający się z najmniej spodziewanych miejsc, na otwartych przestrzeniach mrugające światła czołówek, uczucie jakby nie było w okolicy nikogo poza Kieratowiczami.

Tutaj zaczęło się długie i monotonne podejście pod Przehybę. Widać było już po nas zmęczenie i nie mogliśmy się doczekać obiecanego żurku. Ok. godz. 7 dotarliśmy w końcu do schroniska, gdzie po posiłku zdrzemnęliśmy się chwilę. Siedzieliśmy tam godzinę zanim ruszyliśmy dalej, ale dodało nam to sił. Paweł ruszył przodem i jak się później okazało pomylił drogę i skręcił z czerwonego szlaku. Idąc z Markiem myśleliśmy, że Paweł jest przed nami i mocno wyciągaliśmy nogi, żeby go dogonić. Im dalej szliśmy wyprzedzając kolejnych Kieratowiczów, tym bardziej mieliśmy wrażenie, że jakimś cudem Paweł jest za nami. Nie widząc go na PK9, byliśmy już tego pewni.

Schodząc zielonym szlakiem do Tylmanowej udało się zSMSować z Pawłem - rzeczywiście został z tyłu. Na dole, przy Lewiatanie, czekali na nas moi rodzice zagrzewając nas do dalszej wędrówki. Tutaj spędziliśmy godzinę posilając się, wietrząc stopy i czekając na Pawła. Marek już wcześniej narzekał na bąble, ale teraz mógł się nimi pochwalić – w takim stanie idzie się już głównie głową. Słońce nieźle przygrzewało, a wokół spora liczba uczestników raczyła się lodami i colą. My ruszyliśmy ścieżką do góry, gdzie powinien być brązowy szlak i PK10.



Rysunek 2 - PK10 – po błocie nie ma śladu

Kolejny PK zaliczyliśmy łatwo idąc ścieżką przez Twarogi, Goły Wierch i niebieskim szlakiem. Stąd zamiast iść dalej górą zeszliśmy do głównej drogi za co "zapłaciliśmy" podejściem pod Przełęcz Wierch

Młynne. Od tego miejsca trzymając się małej grupy ścieżką trafiliśmy do Zasadnego i do PK12. Zeszliśmy do Szczawy i zamiast iść wzdłuż potoku Szczawa, poszliśmy równoległą drogą na zachód od niego. Dla mnie było to najgorsze podejście na trasie, może dlatego że się go nie spodziewałem, a może po prostu było stromo? W końcu jednak trafiliśmy do PK13.

Do kolejnego PK zdecydowaliśmy się pójść zielonym i czerwonym szlakiem. Kiedy ten drugi się skończył, znów dołączyliśmy do grupy Kieratowiczów, licząc na ich umiejętności orientacyjne. PK14 był gdzieś "w krzakach" i nawoływaliśmy licząc, że ktoś grupy sędziowskiej się odezwie. Udało się. Dalej czekała już tylko meta, więc nikt nie miał ochoty się zatrzymywać. Ruszyliśmy szybkim marszem, a kiedy droga zrobiła się szersza i jedna z uczestniczek – Ania – zaczęła biec, ruszyliśmy za nią. Większość ostatniego odcinka przebiegliśmy niezłym tempem i wpadliśmy na metę o godz. 20:21 po ponad 26 godzinach marszu.

Co było dalej? Medale, szampan, wywiady, gulasz, kawa, jeszcze więcej gulaszu i do domu! OK, do domu pojechał Paweł i ja, Marek został, żeby się trochę przespać. Z takimi pęcherzami bałbym się naciskać na pedał gazu! Na pewno byliśmy bardzo szczęśliwi i już nie możemy doczekać się powrotu za rok!

Michał Mordarski